

The background of the cover is a dramatic scene. On the left, a massive, intense fire consumes a large structure, with bright orange and yellow flames reaching upwards. On the right, a dark, stormy sky is filled with swirling, greyish-green clouds. In the foreground, the silhouette of a young girl is shown from the back, running towards the left, away from the fire. Her hair is blowing in the wind, and her dress is also caught in the breeze. The overall mood is one of danger and escape.

STEPHEN KING

PODPALACZKA

ALBATROS

Nowy Jork/Albany

1

– Tatusiu, jestem zmęczona – powiedziała mała, rozdrażniona dziewczynka w czerwonych spodniach i zielonej bluzce. – Nie możemy się zatrzymać?

– Jeszcze nie, skarbie.

Był wysoki, szeroki w ramionach; miał na sobie znoszoną i pogniecioną sztruksową marynarkę i zwykłe brązowe spodnie. Szli nowojorską Trzecią Aleją, trzymając się za ręce; szli szybko, prawie biegli. Kiedy mężczyzna obejrzał się za siebie, zobaczył, że zielony samochód ciągle tu jest i jedzie wolno, przy samym krawężniku.

– Tatusiu, proszę. Proszę.

Mężczyzna spojrzał na dziewczynkę i dostrzegł, jak bardzo jest błada i jakie ma podkrążone oczy. Podniósł ją i posadził na ramieniu, lecz nie wiedział, jak długo da radę ją nieść. On też był zmęczony, a Charlie wyrosła już z wagi piórkowej.

Dochodziła siedemnasta trzydzieści i Trzecia Aleja była zapchana ludźmi. Mijali przecznice z ostatnimi numerami sześćdziesiątki, ciemniejsze i mniej zatłoczone... ale mężczyzna tego się właśnie obawiał.

Zderzyli się z kobietą pchającą wózek wypełniony zakupami.

– Patrzcie, gdzie idziecie, dobra? – ofuknęła ich kobieta i

znikła, wessana w śpieszący się tłum.

Ramię zaczęło mu mdleć, więc przesadził Charlie na drugie. Zerknął za siebie. Zielony samochód wciąż tu był; jechał w ślad za nimi oddalony o jakieś pół przecznicy. Z przodu siedziało dwóch i wydawało mu się, że z tyłu jest trzeci.

Co mam teraz zrobić?

Na to pytanie nie znał odpowiedzi. Czuł zmęczenie, przerażenie i myślał z trudnością. Złapali go w najgorszym momencie i, skurwysyny, pewnie o tym wiedzieli. Jego jedynym marzeniem było usiąść na brudnym krawężniku i wyrzeshczeh z siebie rozczarowanie i strach. Ale to niczego by nie rozwiązało. Jest dorosły. Musi myśleć za oboje.

Co mamy teraz zrobić?

Nie mieli pieniędzy. Być może to największy problem – oprócz mężczyzn w zielonym samochodzie. W Nowym Jorku niczego nie dokonasz bez pieniędzy. W Nowym Jorku ludzie bez pieniędzy ulatniają się, padają na chodnik i znikają z pola widzenia.

Spojrzał przez ramię. Dostrzegł, że zielony samochód zbliżył się nieznacznie, i pot popłynął mu po plecach i ramionach nieco żywszym strumieniem. Jeśli wiedzą to, co podejrzewał, że wiedzą – jeśli wiedzą, jak mało zostało mu pchnięcia – mogą spróbować zgarnąć ich tu i teraz. I do diabła z tymi wszystkimi ludźmi. W Nowym Jorku, jeśli coś nie trafia się właśnie tobie, doznajesz przedziwnej ślepoty.

Czy robili wykresy? – myślał rozpaczliwie Andy. Jeśli robili, wiedzą i mogą już tylko krzyczeć. Jeśli robili, znają wzór.

Gdy tylko Andy zdobywał jakieś pieniądze, owe dziwne rzeczy przestawały się zdarzać, ale na chwilę. Rzeczy, które bardzo ich interesowały.

Idź dalej.

Jasne, szefie. Oczywiście, szefie. Dokąd?

W południe poszedł do banku, bo ostrzegł go jego radar –

pojawiło się to dziwne uczucie, że oni znów się zbliżają. Miał w banku pieniądze; dzięki nim mogliby z Charlie uciec, gdyby musieli. I – czy to nie zabawne? – okazało się, że Andrew McGee nie ma już żadnego konta w Chemical Allied Bank w Nowym Jorku; bieżącego, firmy, oszczędnościowego. Pieniądze rozplynęły się w powietrzu i wtedy właśnie zrozumiał, że tym razem padnie decydujący cios. Czy to wszystko naprawdę zdarzyło się tylko pięć i pół godziny temu?

Ale może trochę mu jeszcze zostało? Tylko trochę, troszeczkę? Od ostatniego razu minął prawie tydzień – od tego niedośzłego samobójcy, który przyszedł na regularne, popołudniowe, czwartkowe spotkanie Stowarzyszenia Pewności Siebie i z niesamowitym spokojem zaczął mówić o tym, jak zabił się Hemingway. Przy wyjściu, niby to przypadkowo, obejmując potencjalnego samobójcę ramieniem, Andy zaaplikował mu pchnięcie. Żywił teraz gorzką nadzieję, że było warto. Bo coś zaczynało mu wyglądać, że on i Charlie będą musieli za to zapłacić. Niemal miał nadzieję, że może echo...

Nie. Przerażony, czując obrzydzenie do samego siebie, odrzucił tę myśl. Tego nie życzyłby nikomu.

– Tylko troszeczkę – modlił się cicho. – Boże, wystarczy tylko odrobina. Tylko tyle, by wydostać mnie i Charlie z tej matni.

I, o Boże! – jaką cenę przyjdzie za to zapłacić... plus fakt, że później przez pełen miesiąc będziesz martwy jak radio bez głośnika. Może przez sześć tygodni? A może naprawdę będziesz martwy, a twój tępy mózg będzie ci wyciekał uszami. Co się wtedy stanie z Charlie?

Dochodzili do Siedemdziesiątej Ulicy i trafili na czerwone światło. Przez skrzyżowanie płynęły samochody, przy krawężniku stali stłoczeni piesi, nie można było się ruszyć. I nagle wiedział, że mężczyźni z zielonego samochodu dopadną ich właśnie tu. Jeśli się da, wezmą ich żywcem – ale jeśli coś pójdzie krzywo, to... Cóż, o Charlie też im pewnie powiedzieli.

Być może już nawet nie chcą mieć nas żywych. Być może zdecydowali się utrzymać status quo. Co robisz z błędnym równaniem? Wymazujesz z tablicy.

Nóż w plecy, pistolet z tłumikiem, a prawdopodobnie coś bardziej wyrafinowanego – kropla rzadkiej trucizny na końcu igły. Drgawki na rogu Trzeciej i Siedemdziesiątej. Panie władzo, ten facet miał chyba atak serca.

Będzie musiał sprawdzić, czy została mu ta odrobina. Po prostu nie ma innego wyjścia.

Doszli do grupy pieszych czekających na skrzyżowaniu. Na przejściu czerwone światło, niezmiennie i najwyraźniej wieczne. Obejrzał się. Zielony samochód stanął. Otworzyły się drzwi od strony chodnika, wysiadło dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach. Byli młodzi, gładko ogoleni. Wyglądali znacznie bardziej rześko, niż czuł się Andy McGee.

Zaczął przepychać się przez tłum, nie żałując łokci. Rozglądał się rozpaczliwie za wolną taksówką.

– Hej, człowieku...

– Na litość boską, kolego...

– Proszę pana, pan depcze po moim psie...

– Przepraszam... przepraszam... – powtarzał rozpaczliwie Andy, wypatrując pustej taksówki. Nic. W każdej innej chwili ulice byłyby nimi zapchane. Czuł, że ludzie z zielonego samochodu depczą im po piętach, że chcą położyć łapy na nim i Charlie, że chcą zabrać ich ze sobą Bóg wie gdzie, Sklepik, nie Sklepik; może zrobią im nawet coś gorszego...

Charlie położyła mu głowę na ramieniu i ziewnęła.

Andy dostrzegł pustą taksówkę.

– Stój, stój! – wrzasnął, wymachując dziko wolną ręką.

Dwaj mężczyźni za jego plecami odrzucili wszelkie pozory. Zaczęli biec.

Taksówka zjechała do krawężnika.

– Stać! – krzyknął jeden z nich. – Policja! Policja!

Za plecami czekających na skrzyżowaniu ludzi rozległ się kobiecy krzyk i tłum zaczął się rozpraszać.

Andy otworzył drzwi taksówki, wsadził do niej Charlie i sam zanurkował do środka.

– La Guardia, gaz do dechy – powiedział.

– Taksówka, stać! Policja!

Taksówkarz odwrócił się, słysząc krzyk, i Andy pchnął, bardzo delikatnie. Sztylet bólu ugodził go dokładnie w środek czoła i zaraz znikł, pozostawiając po sobie nieokreślone jądro – jak poranna migrena od spania głową w złej pozycji.

– Chyba gonią tego czarnego w czapce w kratkę – powiedział taksówkarzowi.

– Jasne – odparł kierowca i spokojnie odjechał od krawężnika.

Pojechali Wschodnią Siedemdziesiątą.

Andy obejrzał się. Dwaj mężczyźni stali samotnie przy krawężniku; reszta przechodniów nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Jeden z nich odpiął od pasa krótkofalówkę i coś do niej mówił. Później obaj zniknęli.

– Co zmalował ten czarny? – zapytał kierowca. – Obrabował sklep alkoholowy czy co, jak pan sądzi?

– Nie wiem – odpowiedział Andy, próbując myśleć, co dalej i jak wyciągnąć z taksówkarza jak najwięcej jak najmniejszym pchnięciem. Czy spisali numer taksówki? Powinien założyć, że tak. Ale niechętnie pójdą z tym na policję, miejską lub stanową; są chyba zaskoczeni i rozbici, przynajmniej na razie.

– Czarni w tym mieście to banda ćpunów – stwierdził taksówkarz. – Już ja dobrze wiem.

Charlie zasypiała. Andy zdjął sztruksową marynarkę, zwinął ją i wsunął dziewczynce pod głowę. Poczul niewielki przypływ nadziei. Jeśli rozegra to dobrze, może im się udać. Bogini szczęścia zesłała mu człowieka, którego Andy (bez żadnych uprzedzeń) nazywał popychadłem. Ludzi tego rodzaju najłatwiej było

pchnąć aż do końca; był biały (z jakiegoś powodu z kolorowymi szło najgorzej); całkiem młody (ze starymi niemal nic nie dawało się zrobić); o średniej inteligencji (inteligentnych najłatwiej było pchnąć, głupich najtrudniej, z upośledzonymi umysłowo nie wychodziło wcale).

– Zmieniłem zdanie – powiedział Andy. – Proszę nas zawieźć do Albany.

– Gdzie?

Kierowca spojrzął w lusterko wsteczne.

– Człowieku, nie wolno mi wozić ludzi do Albany, zwariowałeś czy co?

Andy wyciągnął portfel, w którym znajdował się jeden dolarowy banknot. Dziękował Bogu, że nie był to ten rodzaj taksówki, w którym pasażer nie może kontaktować się z kierowcą, bo oddziela ich kuloodporna szyba ze szczeliną, przez którą wsuwa się pieniądze. Otwarty kontakt zawsze ułatwiał pchnięcie. Andy nie potrafił określić, czy to tylko bariera psychologiczna, ale w tej chwili nie miało to najmniejszego znaczenia.

– Mam zamiar dać panu pięćsetdolarowy banknot – powiedział cicho Andy – za zawieszenie mnie i córki do Albany. W porządku?

– Jeeezu, proszę pana...

Andy wsadził banknot w rękę kierowcy i kiedy ten na niego spojrział, pchnął... i to pchnął mocno. Na jedną straszną sekundę przeraziła go myśl, że to się nie uda, że po prostu nic mu już nie zostało, że wyskrobał resztki, kiedy sprawił, że taksówkarz dostrzegł tego nieistniejącego czarnego mężczyznę w kraciastej czapce.

Wtedy przyszło to uczucie – jak zawsze w towarzystwie stałego sztyletu bólu. W tej samej chwili żołądek jakby przybrał na wadze, a wnętrzności skrzyły się w strasznej, przejmującej męce. Drżącą ręką Andy przykrył twarz i myślał, czy zwymiotuje... czy może umrze. W tej jednej chwili chciał umrzeć, jak zawsze kiedy

nadużył pchnięcia – użyj, nie nadużywaj – śpiewny slogan jakiegoś disc jockeya sprzed lat odbił się boleśnie w jego mózgu. Gdyby w tej właśnie chwili ktoś włożył mu do ręki pistolet...

A później Andy spozrywał na Charlie, śpiącą Charlie, Charlie ufającą, że wyciągnie ich z tego bagna, jak wyciągał ich ze wszystkich innych, Charlie pewną, że po obudzeniu zastanie go na miejscu. Tak, te wszystkie bagna, tylko że przez cały czas jest to to samo bagno, to samo pieprzone bagno, a oni nic nie mogą zrobić i tylko znów uciekają. Był zrozpaczony.

Rozpacz minęła... ale nie migrena. Migrena będzie rosła i rosła, aż stanie się nie do zniesienia, aż z każdym uderzeniem serca jej czerwone ostrza będą mu przebijać czaszkę i szyję. Jasne światło spowoduje, że oczy się załzawią i ból przeszyje głowę strzałami cierpienia. Zatoki zatkają się i będzie musiał oddychać ustami. W skronie wkręcą się świdry. Wzmocnią się dźwięki – normalne odgłosy będą brzmiały jak uderzenia kowalskich młotów, głośniejsze dźwięki staną się nie do wytrzymania. Migrena będzie rosła, aż Andy poczuje, jak głowę zgniata mu dębowy wieniec inkwizycji. I na tym poziomie ból się zatrzyma; na sześć godzin, na osiem, na dziesięć. Tym razem nie potrafił powiedzieć na ile. Nigdy jeszcze nie pchnął tak mocno, kiedy był tak bardzo wyładowany. A przez cały czas, który przyjdzie mu spędzić w niewoli bólu, pozostanie bezbronny. Charlie będzie musiała o niego dbać. Bóg wie, robiła to już przedtem... ale wtedy mieli szczęście. Ile można mieć szczęścia naraz?

– Jeeeezu, proszę pana, no, nie wiem...

Co oznaczało, że kierowca przypuszcza, iż sprawa jest podejrzana.

– Jeśli wspomni pan coś o tym mojej małej córeczce, nici z umowy – stwierdził Andy. – Te dwa tygodnie spędziła ze mną. Jutro rano musi wrócić do matki.

– Prawo do odwiedzin – powiedział taksówkarz. – Wiem o tym wszystkim.

– No i widzi pan, miałem polecieć z nią samolotem.
– Do Albany? Pewnie Ozarkiem. Mam rację?
– Tak. Tylko problem w tym, że ja śmiertelnie boję się samolotów. Wiem, głupio brzmi, ale to prawda. Zazwyczaj sam ją odwożę, ale tym razem moja była zrobiła mi awanturę i... no, sam nie wiem.

Andy naprawdę nie wiedział. Wymyślił tę historię na poczekaniu i zabrnął w ślepą uliczkę. Najpewniej był po prostu wyczerpany.

– Więc podrzucę was na stare lotnisko w Albany i mamusia o niczym się nie dowie, oprócz tego, że przylecieliście, co?

– Jasne. – Łomot w głowie.

– I mamusia nie będzie podejrzewać, że pan jest fiu, fiu, fiu, co nie?

– Tak.

„Fiu, fiu, fiu”? Co to niby miało oznaczać? Ból był już nie do zniesienia.

– Pięćset dolców, żeby nie lecieć – zadumał się taksjarsz.

– Dla mnie to tyle warte – stwierdził Andy i użył ostatecznego argumentu. Bardzo cichym głosem, pochylając się niemal do ucha kierowcy, dodał: – I chyba dla pana też.

– Słuchaj pan – powiedział taksjarsz rozmarzonym głosem.
– Ja tam nie wyrzucam pięciuset dolców, o nie. Już ja to wiem.

– Więc w porządku. – Andy opadł na siedzenie.

Zadowolili taksjarsza. Kierowca nie pomyślał nad tym, co usłyszał. Nie zastanawiał się, dlaczego siedmioletnia dziewczynka odwiedza ojca na dwa tygodnie w październiku, kiedy powinna chodzić do szkoły. Nie zastanowiło go, że żadne z nich nie ma nawet podręcznej torby. Nie przejmował się niczym. Dostał pchnięcie.

A teraz jemu przyjdzie za to zapłacić.

Andy położył rękę na nodze Charlie. Dziewczynka spała mocno. Uciekali całe popołudnie – od chwili, gdy Andy dotarł

do szkoły i wyciągnął ją z jej drugiej klasy, używając na pół zapomnianego pretekstu... „Babcia poważnie chora... Zadzwoń do domu... Przykro mi, że zabieram ją w środku dnia”. A pod tym wszystkim wielka, rosnąca ulga. Jak strasznie bał się zajrzeć do klasy pani Mishkin, jak strasznie się bał, że zobaczy puste krzesło Charlie, książki porządnie złożone w kasetce:

„Nie, panie McGee... dwie godziny temu wyszła z pańskimi przyjaciółmi... pokazali mi kartkę od pana... czy coś nie w porządku?”.

Wracają wspomnienia o Vicky, ten dzień, pusty dom, porażający strach. Szalony pościg za Charlie. Bo już ją przedtem mieli, o tak.

Ale Charlie tu była. Jakim cudem mu się udało? O ile ich pobił? Pół godziny? Piętnaście minut? Mniej? Nie chciał o tym myśleć. W barze zjedli późny lunch, a potem, przez całe popołudnie, po prostu wiali – teraz już Andy potrafił przyznać się przed sobą, że wpadł w panikę – jeździli metrem, autobusami, lecz najwięcej po prostu wędrowali. Charlie była wykończona.

Obdarzył córeczkę długim, kochającym spojrzeniem. Piękne blond włosy spadały jej na plecy; we śnie pełna była spokojnego piękna. Aż do bólu przypominała mu Vicky. Andy zamknął oczy.

Na przednim siedzeniu taksówkarz w zdumieniu przyglądał się pięćsetdolarowemu banknotowi, który wręczył mu ten pasażer. Wsadził go w specjalną kieszeń paska; trzymał w niej wszystkie napiwki. Nie myślał, jakie to dziwne, że siedzący z tyłu facet chodził po Nowym Jorku z małą dziewczynką i pięćsetdolarowym banknotem w kieszeni. Nie myślał o tym, jak załatwi to z dyspozytorem. Myślał o tym, jak bardzo zachwyci swą dziewczynę, Glyn. Glyn ciągle mu powtarzała, że prowadzenie taksówki to przygnębiająca, nieciekawa praca. Dobra, poczekajmy, aż zobaczy przygnębiającą, nieciekawą pięćsetkę.

Andy odchylił głowę na oparcie i przymknął oczy. Migrena zbliżała się, nadchodziła, nie do uniknięcia, jak czarny koń cią-

gnący karawan na pogrzebie. Podkowy czarnego konia uderzały mu w skronie: bum... bum... bum...

Bezustanna ucieczka. On i Charlie. Ma trzydzieści cztery lata i do tego roku uczył angielskiego na stanowym uniwersytecie w Harrison, Ohio. Harrison było małym, sennym, uniwersyteckim miasteczkiem. Dobrze, stare Harrison, samo serce Ameryki. Dobry, stary Andrew McGee; miły młody człowiek, filar społeczności. Pamiętasz tę zagadkę? Dlaczego rolnik jest filarem społeczności? Bo na swoim polu wyrasta nad wszystko.

Bum... bum... bum... czarny, dziki koń o czerwonych oczach galopuje przez korytarze jego głowy, żelazne podkowy wbijają się w miękkie, szare grudy tkanki mózgowej, zostawiając ślady wypełniające się mistycznymi półksiężycami krwi.

Taksiarz był popychadłem. Jasne. Filar taksiarzy.

Zdrzemnął się i zobaczył twarz Charlie. I twarz Charlie zmieniła się w twarz Vicky.

Andy McGee i jego żona, śliczna Vicky. Wyrwali jej paznokcie, jeden za drugim. Wyrwali cztery i wtedy zaczęła mówić. Przynajmniej tego się domyślał. Kciuk, wskazujący, środkowy, serdeczny. Później – nie! „Będę mówić. Powiem wam wszystko, wszystko. Tylko mnie już nie dręczcie. Proszę”. Więc im powiedziała. A potem... może to był przypadek... potem jego żona umarła. Cóż, niektóre rzeczy przerastają nas oboje, a inne przerastają nas wszystkich.

Rzeczy takie, jak na przykład Sklepik.

Bum... bum... bum... dziki czarny koń zbliżał się, zbliżał, zbliżał; strzeżcie się czarnego konia.

Andy zasnął.

Wspominał.

Eksperymentem kierował doktor Wanless. Był tłusty, łysiał i miał co najmniej jeden dziwaczny nawyk.

– Każdemu z was, dwunastu młodych pań i panów, zamierzamy dać zastrzyk – mówił, rozdzierając papierosa nad stojącą przed nim popielniczką. Jego małe różowe palce szarpały cienką papierosową bibułkę, wysypując z niej regularne, małe bryłki złotobrazowego tytoniu. – W sześciu strzykawkach będzie woda. W sześciu będzie woda zmieszana z maleńką ilością syntetycznego preparatu chemicznego, który nazywamy Próba Sześć. Dokładny skład preparatu jest tajny, ale zasadniczo jest to środek hipnotyczny i łagodnie halucynogeny. Rozumieją państwo, że w ten sposób preparat zostanie wam podany w sposób podwójnie przypadkowy... przez co chcę powiedzieć, że dopiero w trakcie eksperymentu i państwo, i my dowiemy się, komu go zaaplikowano, a komu nie. Wasza dwunastka będzie pod ścisłą obserwacją przez czterdzieści osiem godzin po zastrzyku. Pytania?

Było kilka pytań, w większości dotyczących dokładnego składu Próby Sześć – słowo „tajny” zadziało jak wypuszczenie psów na trop skazańca. Wanless wykręcał się całkiem zręcznie. Nikt nie zadał pytania, które najbardziej interesowało dwudziestodwuletniego Andy’ego McGee. Zastanawiał się, czy nie podnieść ręki i nie przerwać ciszy i spokoju, panujących w niemal pustej sali wykładowej wspólnego budynku Wydziału Psychologii i Wydziału Socjologii, pytaniem: – Proszę mi powiedzieć, dlaczego niszczy pan w ten sposób całkiem dobre papierosy? – Chyba nie. Póki trwa ta nuda, lepiej popuścić cugli wyobraźni. Wanless próbował rzucić palenie. Palacze oralni palą papierosy, palacze analni draż papierosy. (Ta myśl spowodowała, że usta Andy’ego skrzywiły się w lekkim uśmiechu; ukrył go za podniesioną dłońią). Brat doktora zmarł na raka płuc i doktor w ten symboliczny sposób mści się na całym przemyśle tytoniowym. A może był to jeden z osobliwych tików, które profesorowie uniwersytetów czują się

w obowiązku pielęgnować raczej, niż tłumić. Na drugim roku w Harrison Andy miał wykładowcę (przeniesionego już liściowicie na emeryturę), który wykładając o Williamie Deanie Howellsie i narodzinach realizmu, bez przerwy wachał krawat.

– Jeśli nie ma już więcej pytań, proszę wypełnić te formularze i spodziewamy się państwa we wtorek, punktualnie o dziewiątej.

Dwóch asystentów rozdawało fotokopie formularzy z dwudziestoma pięcioma idiotycznymi pytaniami, na które trzeba było odpowiedzieć „tak” lub „nie”.

Czy kiedykolwiek przechodził Pan/Pani kurację psychiatryczną? – 8. Czy jest Pan/Pani przekonany (a), że miał Pan/Pani autentyczne doświadczenie pozazmysłowe? – 14. Czy używał Pan/Pani kiedykolwiek środków halucynogennych? – 18.

Po krótkiej chwili namysłu Andy zaznaczył przy ostatnim pytaniu „nie”, myśląc: Kto ich nie używał w naszym wspaniałym 1969 roku?

Wpuścił go w to Quincey Tremont – gość, z którym Andy mieszkał podczas studiów w jednym pokoju. Quincey wiedział, że sytuacja finansowa Andy’ego nie przedstawia się różowo. Był maj, ostatni rok studiów, Andy był czterdziesty na roku, na którym studiowało pięćset sześć osób, a trzeci w angielskim. Tylko że nie sprzedadzą ci za to obiadu – jak powiedział Quinceyowi, który był na psychologii. W semestrze jesiennym Andy miał dostać asystenturę, która, wraz z pakietem pożyczki stypendialnej, powinna mu wystarczyć na jedzenie podczas studiów dla zaawansowanych; ale to wszystko miało przyjść na jesieni, a tymczasem trwał letni sezon ogórkowy. Andy’emu udało się na razie załatwić jedynie wymagającą i odpowiedzialną posadę pomocnika na nocnej zmianie w stacji benzynowej.

– Co myślisz o szybkich dwóch słowach? – zapytał go kiedyś Quincey.

Andy szeszał długie, ciemne włosy z zielonych oczu i

uśmiechnął się.

- W jakim męskim kibelku mam ustawić stół?
- Nie, to eksperyment z psychiatrii – odpowiedział Quincey.
- Ale prowadzi go Szalony Doktor. Ostrzegam.
- Kto?
- Niejaki Wanless, ciemniaku. Wielki szaman na tym ich Wydziale Psychologii.
- Dlaczego nazywają go Szalonym Doktorem?
- Cóż – odpowiedział Quincey – to eksperymentator od szczurów i facet Skinnera jednocześnie. Behawiorysta. A behawiorystów w naszych czasach niekoniecznie otacza się miłością.
- Aha – powiedział Andy, niewiele z tego rozumiejąc.
- A poza tym nosi bardzo grube, malutkie okulary bez oprawki i dzięki nim mocno przypomina faceta, który zmniejszał ludzi w *Dr Cyclops*. Może to widziałeś?

Andy, który był namiętym kinomanem, widział to i poczuł się nieco spokojniejszy. Ale mimo wszystko nie był pewien, czy chce uczestniczyć w eksperymencie profesora, którego nazywano a) eksperymentatorem od szczurów i b) Szalonym Doktorem.

- Ale oni nie zamierzają zmniejszać ludzi, co? – zapytał.

Quincey roześmiał się serdecznie.

- Nie, to wyłącznie domena ludzi od efektów specjalnych w horrorach klasy B – powiedział. – Wydział Psychologii testuje serię łagodnych środków halucynogennych. Pracują ręka w rękę z wywiadem USA.

- CIA? – zapytał Andy.

– Ani CIA, ani DIA, ani NSA – odpowiedział Quincey. – Bardziej utajnione od nich wszystkich. Spotkałeś się kiedy z czymś, co nazywają Sklepikiem?

- Może w niedzielnym magazynie albo coś. Nie jestem pewien.

Quincey zapalił fajkę.

- To wygląda wszędzie mniej więcej tak samo. Psychologia,

chemia, fizyka, biologia... nawet socjologom odpala się coś ze zwitka zielonych. Pewne programy subsydiowane są przez rząd. Wszystko, począwszy od rytuałów godowych muchy tse-tse do możliwości pozbycia się zużytych odpadów plutonu. Coś takiego jak Sklepik musi wydać w ciągu roku całą forszę, żeby uzasadnić przyznanie podobnego budżetu na następny rok.

– Całe to gówno cholernie mnie martwi – powiedział Andy.

– Martwi niemal każdego myślącego człowieka – odparł Quincey z promiennym uśmiechem, świadczącym, że wcale nie jest zmartwiony. – I wszystko toczy się dalej. Czego nasza instytucja wywiadowcza chce od łagodnych halucynogenów? Kto wie? Nie ja. Nie ty. Oni sami też mogą nie wiedzieć. Ale raporty będą wyglądały niezłe na zamkniętym posiedzeniu komitetu budżetowego. Mają swoich pupilków na każdym wydziale. W Harrison, na Psychologii, ich pupilkiem jest Wanless.

– Administracji to nie przeszkadza?

– Nie bądź naiwny, mój chłopcze. – Quincey rozpałił już fajkę tak, jak chciał, i zaczął wydmuchiwać wielkie chmury śmierdzącego dymu w nędzny salonik ich mieszkania. Odpowiednio do fajki zmienił się jego głos, był dźwięczniejszy, bardziej napuszony, bardziej fajczany. – Co jest dobre dla Wanlessa, jest dobre dla Wydziału Psychologii Uniwersytetu w Harrison, który w następnym roku zyska tu własny gmach; już nie będzie się gniótł z tymi ciemnymi typkami z socjologii. A co jest dobre dla Wydziału Psychologii, jest dobre dla Uniwersytetu Stanowego w Harrison. I dla Ohio. I całe to ple-ple.

– Myślisz, że to bezpieczne?

– Na studentach ochotnikach nie testuje się niczego, co mogłoby być niebezpieczne – stwierdził Quincey. – Gdyby mieli chociaż najmniejsze wątpliwości, eksperymentowaliby na szczurach i skazańcach. Możesz być w stu procentach pewien, że to, co ci wstrzykną, wstrzyknęli już przedtem mniej więcej trzystu ludziom, których reakcje obserwowano bardzo uważnie.

- Nie podoba mi się ten interes z CIA...
- Ze Sklepikiem...
- A co to za różnica? – spytał ponuro Andy.

Patrzył na plakat, który powiesił Quincey, przedstawiający Richarda Nixona stojącego przed zmiażdżonym wrakiem samochodu. Nixon uśmiechał się szeroko i z zaciśniętych pięści wystawiał sterczący znak zwycięstwa. Ciągłe jeszcze nie mógł uwierzyć, że przed niespełna rokiem ten człowiek został wybrany na prezydenta.

– Cóż, myślałem, że po prostu przyda ci się dwieście dolarów, to wszystko.

- A czemu płacą tak dobrze? – zapytał podejrzliwie Andy. Quincey wyrzucił ręce w górę.

– Andy, to na koszt rządu! Nie potrafisz tego zrozumieć? Dwa lata temu Sklepik zapłacił coś około trzystu tysięcy dolarów za studium nad przydatnością masowej produkcji wybuchających rowerów – i to było w niedzielnym „Timesie”. Pewnie kolejna wietnamska afera, chociaż prawdopodobnie nikt nic nie wie na pewno. Jak lubił mawiać Cygan McGee: „Wtedy wydawało się to dobrym pomysłem”. – Quincey wystukiwał fajkę szybkimi, nerwowymi ruchami. – Dla takich facetów każda uczelnia w Stanach to ekskluzywny supermarket. Tutaj trochę kupią, tutaj coś podpatrzą. Ale jeśli nie chcesz...

- No, może chcę. A ty w to wchodzisz?

Quincey uśmiechnął się. Jego ojciec miał w Ohio i Indianie sieć bardzo modnych sklepów z męską konfekcją.

– Dwustu dolarów to ja aż tak nie potrzebuję. A poza tym nie znoszę igieł.

- Aha.

– Na miłość boską, ja ci wcale nie próbuję tego sprzedać, po prostu wydałeś mi się jakby głodny. W każdym razie masz pięćdziesiąt procent szans, że będziesz w grupie kontrolnej. Dwieście dolarów za zastrzyk z wody. I to nawet nie wody z kranu, wiesz.

Wody destylowanej.

– Możesz to załatwić?

– Chodzę z jedną asystentką Wanlessa – powiedział Quincey. – Będą mieli tak około pięćdziesięciu zgłoszeń, większość od lizusków zarabiających na przody u Szalonego Doktora...

– Wolałbym, żebyś przestał go tak nazywać.

– No, to u Wanlessa. – Quincey roześmiał się. – Już on na pewno się postara, żeby lizuski odpadły. Moja dziewczyna dopilnuje, żeby twoje podanie zostało przyjęte. A później, kochany, musisz się starać sam.

Więc kiedy ogłoszenie „Poszukujemy ochotników” pojawiło się w gablotce na ścianie w gmachu psychologii, Andy złożył odpowiednie podanie. Po tygodniu zadzwoniła młoda asystentka (z tego, co wiedział Andy, dziewczyna Quinceya) i zadała mu kilka pytań. Powiedział, że jego rodzice nie żyją, że ma grupę krwi „0”, że nigdy przedtem nie brał udziału w żadnym eksperymencie Wydziału Psychologii, że rzeczywiście jest studentem w Harrison, rocznik '69 i że ma ponad dwanaście zaliczeń, co klasyfikuje go jako regularnego studenta. Ach tak, skończył dwadzieścia jeden lat i może podejmować wszystkie czynności prawne, publicznie i prywatnie.

Tydzień później, pocztą uniwersytecką, Andy otrzymał list z zawiadomieniem, że jego kandydatura została przyjęta, i prośbą, by podpisał się na formularzu. Proszę przynieść podpisany formularz szóstego maja do pokoju numer sto, w gmachu Jasona Gearneigha.

I właśnie tak tu się znalazł. Oddał podpisany formularz; niszczytel papierosów, doktor Wanless, znikł (naprawdę wyglądał trochę jak szalony naukowiec w tym filmie, *Cyclops*), a on – razem z jedenastoma innymi studentami – odpowiadał na pytania dotyczące doświadczeń religijnych. „Czy miał epilepsję”? „Nie”. Jego ojciec zmarł nagle na atak serca, gdy Andy miał jedenaście lat. Jego matka zginęła w wypadku samochodowym, gdy Andy

miał lat siedemnaście – wstrętne, bolesne doświadczenie. Jediną bliską krewną była siostra matki, ciocia Cora, osoba mocno już starszawa.

Posuwał się wzdłuż kolumny pytań, zaznaczając „nie”, „nie”, „nie”. Tylko na jedno pytanie odpowiedział TAK. Czy kiedykolwiek doznałeś złamania lub poważnego urazu? Jeśli tak, opisz. We właściwym miejscu Andy opisał fakt, że złamał lewą kostkę, wślizgując się do drugiej bazy w meczu Ligi Juniorów dwanaście lat temu.

Sprawdzał odpowiedzi, przesuwając czubek długopisu w górę kolumny pytań i właśnie wtedy ktoś poklepał go po ramieniu, a dziewczęcy głos, słodki i nieco ochryply, zapytał:

– Czy mogę pożyczyć długopisu, jeśli skończyłeś? Mój się wypisał.

– Oczywiście – odpowiedział i obrócił się, by wręczyć długopis dziewczynie. Była ładna. Wysoka. Jasnokasztanowate włosy, niezwykle piękna cera. Ubrana w niebieskoszarą bluzę i krótką spódniczkę. Dobre nogi. Bez pończoch. Szybka ocena przyszłej żony.

Wręczył jej długopis, a ona uśmiechnęła się w odpowiedzi. Kiedy znów pochyliła się nad formularzem, blask umieszczonych wysoko świateł odbił się miedzią w jej włosach, niedbale związanych szeroką białą wstążką.

Andy zaniósł formularze do asystenta siedzącego przy katedrze.

– Dziękuję – odpowiedział asystent jak dobrze zaprogramowany robot Robbie. – Pokój siedemdziesiąt, sobota, dziewiąta rano. Proszę być punktualnie.

– Jaki odzew? – wyszeptał ochryple Andy.

Asystent roześmiał się uprzejmie.

Andy wyszedł z sali wykładowej, ruszył przez hol w stronę wielkich podwójnych drzwi (za drzwiami dziedziniec zielenił się w oczekiwaniu lata, studenci łazili po nim bez celu, tu i tam) i

przypomniął sobie o długopisie. Niemal machnął na niego ręką, był to tylko bic za dziewiętnaście centów, a na niego czekało jeszcze kilka zaliczeń. Ale dziewczyna była ładna, może warta, jak to mówią Brytyjczycy, przygadania. Nie miał złudzeń co do swej urody i sylwetki, które niczym szczególnym się nie wyróżniały, i co do sytuacji dziewczyny (zaangażowana albo zaręczona), ale dzień był ładny i Andy czuł się dobrze. Zdecydował, że zaczeka. W końcu przynajmniej jeszcze raz obejrzy sobie te nogi.

Dziewczyna wyszła trzy lub cztery minuty później; pod pachą trzymała kilka notatników i podręcznik. Naprawdę była śliczna i Andy zdecydował, że warto było poczekać, by móc popatrzeć na jej nogi. Były więcej niż ładne, były wspaniałe.

– Ach, tu jesteś – powiedziała dziewczyna z uśmiechem.

– Tu jestem – odpowiedział jej Andy McGee. – Co o tym wszystkim sądzisz?

– Nie wiem. Przyjaciółka powiedziała mi, że takie eksperymenty prowadzi się tu bez przerwy – w tym semestrze brała udział w jednym z nich. Karty do badania ESP. Dostała pięćdziesiąt dolarów, chociaż pomyliła prawie wszystkie. Więc pomyślałam sobie... – Skończyła myśl wzruszeniem ramion i starannie odrzuciła na plecy miedziane włosy.

– Tak. Ja też – powiedział Andy, odbierając od niej długopis.

– Ta przyjaciółka jest na psychologii?

– Tak. I mój chłopak też. Jest w jednej z grup doktora Wanlessa, więc nie mógł wziąć udziału w eksperymencie. Konflikt interesów czy coś tam.

Chłopak. Oczywiście; wysoka, kasztanowowłosa piękność musi mieć jakiegoś chłopaka. Tak kręci się ten świat.

– A co z tobą? – zapytała.

– To samo. Przyjaciół na psychologii. Przy okazji, nazywam się Andy. Andy McGee.

– Vicky Tomlinson. Trochę się tym denerwuję, panie Andy McGee. A co, jeśli będę miała złą podróż albo coś takiego?

– Mnie to wygląda na bardzo łagodny środek. A nawet jeśli to kwas, cóż... laboratoryjny jest inny niż ten, który możesz kupić na ulicy, tak przynajmniej słyszałem. Bardzo czysty, bardzo łagodny, podawany w dokładnie kontrolowanych okolicznościach. Prawdopodobnie usłyszysz tylko Cream albo Jefferson Airplane. – Andy uśmiechnął się szeroko.

– Dużo wiesz o LSD? – zapytała dziewczyna z lekkim uśmiechem, który podniósł jej kąciaki ust i bardzo mu się spodobał.

– Niewiele – przyznał Andy. – Spróbowałem dwa razy – raz dwa lata temu, raz w tym roku. W pewien sposób poczułem się po tym lepiej. Wyczyścił mi głowę... a przynajmniej tak mi się wydawało. Po wszystkim znikło mi z głowy mnóstwo starego śmiecia. Ale nie chciałbym się do niego przyzwyczaić. Nie lubię tracić kontroli nad sobą. Mogę ci kupić colę?

– Dobrze – zgodziła się i poszli do głównego budynku.

Skończyło się na tym, że kupił jej dwie cole i spędzili razem całe popołudnie. Wieczorem w miejscowym barze wypili kilka piw. Okazało się, że między nią i jej chłopakiem dojrzało do zerwania i nie była pewna, jak to dalej rozegrać. Wyobrażał sobie, że wzięli ślub, tłumaczyła Andy'emu, i kategorycznie zakazał jej brania udziału w eksperymencie Wanlessa. Dokładnie z tego powodu zdecydowała się i podpisała zgodę, chociaż trochę się bała.

– Ten Wanless naprawdę przypomina nieco szalonego naukowca – powiedziała, robiąc kółka na stole szklanką od piwa.

– Jak ci się podobała jego sztuczka z papierosami?

Vicky zachichotała.

– Dziwny sposób na rzucenie palenia, co?

Zapytał, czy może wpaść po nią rankiem, przed eksperymentem, i Vicky zgodziła się z wdzięcznością.

– Dobrze będzie wejść w to wszystko z przyjacielem – powiedziała, patrząc na niego szczerymi, niebieskimi oczami. – Naprawdę trochę się boję, wiesz? George był taki... nie wiem, nieugięty.

– Dlaczego? Co ci powiedział?
– W tym problem. Nie chciał mi nic powiedzieć oprócz tego, że nie ufa Wanlessowi. Twierdził, że niemal nikt na wydziale mu nie ufa, ale wielu wpisuje się na jego testy, ponieważ jest ich opiekunem naukowym. A poza tym wiedzą, że to bezpieczne; po prostu znowu ich skreśli.

Andy sięgnął przez stół i dotknął ręki Vicky.

– I tak prawdopodobnie dostaniemy wodę destylowaną – powiedział. – Spokojnie, dziecko. Wszystko będzie dobrze.

Lecz okazało się, że nic nie było dobrze. Nic a nic.

3

– Panie, to lotnisko Albany... Proszę pana, dojechaliśmy... Proszę pana, jesteście na lotnisku.

Andy otworzył oczy i zaraz je zamknął; raziły go białe światła wiszących w górze neonówek. Usłyszał potworne, wrzaskliwe, rosnące bez końca wycie i zadrzał. Czuł, jak wielkie, stalowe igły wbijają mu się w uszy. Samolot. Startuje. Rzeczywistość wróciła do niego poprzez czerwoną mgłę bólu. *Tak, doktorku, już wszystko pamiętam.*

– Proszę pana? – W głosie taksówkarza brzmiał niepokój. – Proszę pana, dobrze się pan czuje?

– Migrena. – Jego głos zdawał się dochodzić z bardzo daleka, pogrzebany w huku samolotowego silnika, który – dzięki Bogu – cichł. – Która godzina?

– Prawie północ. Długo tu się jedzie. Już ja to wiem. Autobusy nie kursują, jeśli taki miał pan plan. Jest pan pewien, że nie trzeba odwieźć pana do domu?

Andy szukał w głowie fragmentów bajki, którą sprzedał taksówkarzowi. To ważne, żeby ją sobie przypomnieć, i do diabła z migreną. Z powodu echa. Jeśli powie coś, co zaprzeczy opo-

wiedzianej wcześniej historii nawet w najmniejszym szczególe, w mózgu taksówkarza może powstać efekt odbicia. I może się wytłumić, najprawdopodobniej się wytłumi, ale może się i nie wytłumić. Taksówkarz mógłby się przyczepić do jakiegoś szczegółu, mógłby sfiksować na jego punkcie, mógłby wkrótce stracić kontrolę; myślałby tylko o tym, aż po niedługim czasie jego mózg rozpadłby się na kawałki. To się już zdarzało.

– Mam samochód na parkingu – powiedział Andy. – Wszystko w porządku.

– Aha. – Taksówkarz uśmiechnął się, uspokojony. – Wie pan, Glyn w to nie uwierzy. Rany! Już ja to...!

– Z pewnością uwierzy. Przecież pan wierzy, nie?

Taksówkarz uśmiechnął się szeroko.

– Mam sporo forsy. To dobry dowód, proszę pana. Dziękuję.

– To ja dziękuję panu. – Andy próbował być uprzejmy. Próbował się poruszyć. Dla Charlie. Gdyby był sam, już dawno popełniłby samobójstwo. Bóg nie stworzył człowieka, by znosił taki ból.

– Pan na pewno dobrze się czuje? Jest pan strasznie błądy.

– Czuję się nieźle, dziękuję. – Andy zaczął potrząsać Charlie.

– Hej, kochanie. – Uważał, żeby nie wymówić jej imienia. Prawdopodobnie nie miało to najmniejszego znaczenia, ale ostrożność przychodziła mu tak naturalnie jak oddychanie. – Obudź się, jesteśmy na miejscu.

Charlie mruknęła i próbowała przewrócić się na drugi bok.

– Kochanie. Skarbie, obudź się.

Charlie mrugnęła, otworzyła oczy – szczerze, niebieskie oczy, które odziedziczyła po matce, i usiadła, przecierając twarz.

– Tato? Gdzie jesteśmy?

– Albany, skarbie. Lotnisko. – Pochylając się bliżej córki, Andy szepnął: – Nic nie mów. Nie teraz.

– W porządku. – Charlie uśmiechnęła się do taksówkarza, a taksówkarz uśmiechnął się do niej. Wyślizgnęła się z samochodu

i Andy poszedł za nią, starając się iść prosto.

– Jeszcze raz bardzo panu dziękuję – powiedział taksówkarz.

Andy potrząsnął wyciągniętą dłonią.

– Proszę na siebie uważać.

– Jasne. Glyn nie uwierzy w taką forszę!

Taksówkarz wrócił do samochodu i odjechał od pomalowanego na żółto krawężnika. Startował następny odrzutowiec, ryk silników narastał, aż Andy myślał, że głowa pęknie mu na dwie części i spadnie na chodnik jak pusta tykwa. Zatoczył się trochę i Charlie położyła mu rękę na ramieniu.

– Och, tatusiu – powiedziała głosem dobiegającym z bardzo daleka.

– W środku. Muszę usiąść.

Weszli do terminalu, mała dziewczynka w czerwonych spodniach i zielonej bluzce oraz wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, zgarbiony i potargany. Bagażowy patrzył, jak wchodzili, i pomyślał, że to najczystsze świństwo: taki wielki facet, na oko zalany w trupa, na dworze po północy z córeczką, która powinna od dawna być w łóżku, a nie prowadzić go jak pies przewodnik. Takich rodziców powinno się sterylizować, pomyślał bagażowy.

A później mężczyzna i dziewczynka weszli do terminalu przez sterowane fotokomórką drzwi i bagażowy całkiem o nich zapomniał do chwili, gdy w czterdzieści minut później podjechał do krawężnika zielony samochód i wysiadło z niego dwóch mężczyzn, którzy zaczęli z nim rozmawiać.

4

Było dziesięć po dwunastej. Terminal objęli w posiadanie ludzie wczesnego poranka: żołnierze, którym kończyły się przepustki, zmordowane kobiety prowadzące grupki rozdrażnionych, zaspanych dzieciaków, biznesmeni ze spuchniętymi od

niewyspania oczami, młodzi ludzie w wielkich butach, z długimi włosami, wędrujący znikąd donikąd (niektórzy dźwigali plecaki), kobieta i mężczyzna z raketami tenisowymi w torbach. Głośniki informowały o przylotach i odlotach, wywołując ludzi niczym jakiś wszechmocny głos we śnie.

Andy i Charlie usiedli obok siebie przy dwóch stołach z wmontowanymi telewizorami. Odbiorniki były pogiete, podrapane i pomalowane na martwy czarny kolor. Andy'emu wydawały się jakimiś tajemniczymi, futurystycznymi kobrami. Wrzucił w nie ostatnie dwudziestopięciocentówki, żeby nikt nie kazał im wstać i opuścić miejsc. W telewizorze Charlie nadawano powtórkę programu rozrywkowego; u Andy'ego Johnny Carson dokazywał, jak zwykle, z przyjaciółmi.

– Tato, czy muszę? – Charlie zadała to pytanie po raz drugi. W oczach miała łzy.

– Skarbie, mnie już nic nie zostało. Nie mamy pieniędzy. Nie możemy tu za długo siedzieć.

– Żli ludzie nadchodzą? – zapytała Charlie i jej głos opadł do szeptu.

– Nie wiem – łomot w mózgu. Już nie dziki koń, lecz wielkie wory pełne ostrych kawałków żelaza, spuszczone mu na głowę z okna na piątym piętrze. – Musimy założyć, że tak.

– Skąd mam wziąć pieniądze?

Andy zawahał się, a później powiedział:

– Ty wiesz.

Rozpłakała się i łzy spłynęły jej po policzkach.

– To nieładnie. To nieładnie kraść.

– Wiem. Ale oni też nie mają prawa nas ścigać. Wyjaśniałem ci to, Charlie. A przynajmniej próbowałem.

– Małe zło i duże zło?

– Tak. Mniejsze i większe zło.

– Czy głowa naprawdę tak cię boli?

– Jest raczej kiepsko – powiedział Andy. Nie było potrzeby

tłumaczyć jej, że za godzinę, może dwie, ból będzie tak straszny, że uniemożliwi mu logiczne myślenie. Nie ma potrzeby jej straszyć, i tak już jest przestraszona. Nie ma potrzeby mówić jej, że jego zdaniem tym razem się im nie uda.

– Spróbuję – powiedziała Charlie i wstała z krzesła. – Biedny tatuś – dodała i pocałowała go.

Andy zamknął oczy. Wprost przed nim grał telewizor, daleki bełkot ześrodkowany w morzu rosnącego bólu. Kiedy znów otworzył oczy, Charlie była już tylko daleką figurką, bardzo małą, ubraną na zielono i czerwono jak łańcuch na choinkę, przemykającą się rażno wśród małych grupek ludzi.

Boże, proszę, niech nic jej się nie stanie. Niech nikt jej nie skrzywdzi, niech nikt nie przestraszy jej bardziej, niż już jest przestraszona. Proszę cię, Boże, i dziękuję ci. Tak dobrze?

Jeszcze raz przyknął oczy.

5

Mała dziewczynka w czerwonych obcisłych spodniach i zielonej bluzce ze sztucznego jedwabiu. Długie jasne włosy. Powinna już leżeć w łóżku, a tymczasem jest tu, sama. Sama w jednym z niewielu miejsc, w których nikt nie zwróci uwagi na samotną małą dziewczynkę, nawet po północy. Mijała ludzi, ale tak naprawdę nikt jej nie widział. Gdyby płakała, strażnik mógłby do niej podejść i zapytać, czy się nie zgubiła, czy wie, na jaką linię mamusia i tatuś mają bilety; zapytałby o nazwiska, by można ich było wywołać. Ale ta dziewczynka nie płakała; sprawiała wrażenie, jakby wiedziała, dokąd idzie.

Charlie nie była pewna, gdzie iść, ale całkiem dokładnie wiedziała, czego szuka. Potrzebowali pieniędzy, tak powiedział tatuś. Zbliżali się zli ludzie, a tatę bolała głowa. Kiedy głowa go tak bolała, nie mógł myśleć. Powinien się położyć i mieć jak naj-

więcej spokoju. Powinien spać, aż głowa przestanie go boleć. Ale źli ludzie zbliżali się... ludzie ze Sklepiku, ludzie, którzy chcieli ich rozdzielić i zobaczyć, dlaczego są właśnie tacy – i czy można ich użyć, zmusić, żeby robili te rzeczy.

Zobaczyła papierową torebkę wystającą z kosza na śmiecie i wzięła ją. A nieco dalej, w poczekalni, trafiła na to, czego szukała: rząd kabin telefonicznych.

Charlie stanęła, patrząc na nie i czując strach. Bała się, bo tatuś powtarzał jej ciągle, że nie powinna tego robić... od najmłodszejszego dzieciństwa wiedziała, że to coś Złego. Nie zawsze umiała kontrolować Złe. Mogła zranić siebie, kogoś, wielu ludzi. Ten dzień, och, mamusiu, przepraszam, ból, bandaże, krzyk; sprawiła, że mama krzyczała, już nigdy więcej... nigdy... to Złe...

W kuchni, kiedy była mała... Ale bolało za bardzo, żeby o tym myśleć. To było Złe, bo kiedy je wypuściła, szło... wszędzie. I przerażało.

Były i inne rzeczy. Na przykład pchnięcie, tata to tak nazwał, pchnięcie. Tylko że ona potrafiła pchnąć znacznie mocniej niż tata. I głowa nigdy jej po tym nie bolała. Ale czasami, później... pojawiał się ogień.

Charlie stała, zerkając nerwowo na budki telefoniczne i nazywa Złego błysnęła jej w głowie: pirokineza. „Nie o nazwę chodzi – powiedział jej tata, kiedy ciągle jeszcze byli w Port City i myśleli jak głupi, że są bezpieczni. – Kochanie, jesteś podpalaczką. Jak duża, wielka zapalniczka”. Pomyślała wtedy, że to śmieszne, i zachichotała; ale teraz nie widziała w tym nic śmiesznego.

Inny powód, dla którego nie powinna pchać, to ten, że oni mogli to odkryć. Źli ludzie ze Sklepiku.

– Nie wiem, jak dużo o tobie wiedzą – powiedział jej tata – ale nie chcę, żeby jeszcze się czegoś dowiedzieli. Twoje pchnięcie nie jest dokładnie takie jak moje, skarbie. Nie możesz zmusić ludzi, żeby... no, zmienili zdanie, prawda?

– Nieee...